

TOM II

Rozdział I

Jurand znalazłszy się na podwórzu zamkowym nie wiedział zrazu, dokąd iść. Spostrzegłszy drzwi większe od innych, nad którymi wykuty był w kamieniu Chrystus na krzyżu, udał się ku nim w mniemaniu, że jeśli komtur i starszyzna znajdują się w innej części zamku lub w innych izbach, to go ktoś przecie musi z błędnej drogi nawrócić. I tak się stało. W chwili gdy Jurand zbliżył się do owych drzwi, obie ich połowy otworzyły się nagle i stanął przed nimi młodzianek z wygoloną głową jak klerycy, ale przybrany w suknię świecką, i zapytał:

– Wyście, panie, Jurand ze Spychowa?

– Jam jest.

– Pobożny komtur rozkazał mi prowadzić was. Pójdźcie za mną.

I począł go wieść przez sklepioną wielką sień ku schodom. Jurand spostrzegłszy w jego twarzy coś w rodzaju politowania i współczucia rzekł:

– Uczciwość patrzy ci z oczu, pacholku. Odpowiedz mi szczerze na to, o co spytam? Oddadzą dziecko za mnie?

Przewodnik poruszył ręką na znak, że nic nie wie, ale twarz jego wyrażała niepokój i zwątpienie. A Jurand spytał jeszcze:

– Prawda-li, że strzegą jej Szomberg i Markwart?

– Nie ma tych braci w zamku. Odbierzcie ją jednak, panie, nim starosta Danveld ozdrowieje.

Usłyszawszy to Jurand zadrzał, ale nie było już czasu pytać o nic więcej, gdyż doszli do sali na piętrze. Rycerz ze Spychowa wszedł i znalazł się w obszernej komnacie, bardzo ciemnej. Dopiero po jakimś czasie, gdy oczy Juranda oswoiły się ze zmrokiem, dostrzegł w głębi stół i siedzących za nim rycerzy, a dalej za ich plecami całą gromadę zbrojnych giermków i równie zbrojnych knechtów. Jurand potykał się niegdyś z Danveldem, po czym widział go dwukrotnie na dworze księcia mazowieckiego jako posła, ale od tych terminów upłynęło kilka lat; poznał go jednak pomimo mroku natychmiast i po otyłości, i po twarzy, a wreszcie po tym, że siedział za stołem w pośrodku, w poręczastym krześle, mając rękę ujętą w drewniane łupki, opartą na poręczy. Po prawej jego stronie siedział stary Zygfryd de Löwe z Insburka, po lewej młodszy bracia Gotfryd i Rotgier.

Długi czas trwało milczenie, albowiem pragnęli się nasycić widokiem męża, którego przedtem po prostu się bali, a który teraz stał przed nimi ze spuszczoną na piersi głową, przybrany w zgrzebny wór pokutniczy, z powrozem u szyi, na którym wisiała pochwa miecza.

Danveld dał znak jednemu z giermków, ów zaś zbliżył się do Juranda i chwyciwszy dłonią za powrót otaczający jego szyję przyciągnął go o kilka kroków bliżej do stołu. A Danveld spojrzawszy z tryumfem po obecnych i rzekł:

– Patrzcie, jako moc Zakonu zwycięża złość i pychę. Kasałeś Zakon jako pies zapieniony, przeto Bóg sprawił, że jako pies stoisz przed nami, z powrozem na szyi, wyglądając łaski i zmiłowania.

– Nie równaj mnie z psem, komturze – odrzekł Jurand – bo czci ujmujesz tym, którzy potykali się ze mną i z mojej ręki polegli.

Na te słowa szmer powstał między zbrojnymi Niemcami, lecz komtur nie był rad z takiego obrotu rozmowy, więc rzekł:

– Patrzcie, oto tu jeszcze pluje nam w oczy hardością i pychą!

A Jurand wyciągnął w górę dłoń jak człowiek, który niebiosą wzywa na świadki, i odrzekł kiwając głową:

– Bóg widzi, że moja hardość została za bramą tutejszą. Bóg widzi i będzie sądził, czy hańbiąc mój stan rycerski nie pohańbiliście się i sami. Jedną jest cześć rycerska, którą każdy, kto opasan, szanować winien.

– Nie narzekaj, że pohańbiono – rzekł Danveld – bo choćbym cię psiarczykiem uczynił, lepszy psiarczyk zakonny niż wasz rycerz!

Na to tu i ówdzie ozwały się śmiechy, jakiś głos zawołał spoza pleców braci zakonnych:

– Latem będziesz trzcinę na jeziorze kosił!

– I raki na ścierwo łowił! – zawołał inny. Trzeci zaś dodał:

– A teraz pocznij wrony od wisielców odganiać! Nie zbraknie tu roboty.

Tak to oni szydzili ze straszego im niegdyś Juranda. Powoli wesołość ogarnęła zgromadzenie. Niektórzy wyszedłszy zza stołu poczęli zbliżać się do jeńca, opatrywać go z bliska i trącając go pod brodę konwiami mówili: „Rad byś pił, mazurski ryju!” – a niektórzy ulewając na dłonie chlustali mu w oczy, on zaś stał między nimi, zahukany, zelżony, aż wreszcie ruszył ku staremu Zygrydowi i czując, że nie wytrzyma już długo, począł krzyżeć tak głośno, aby zagłuszyć gwar panujący w sali:

– Na mękę Zbawiciela i duszne zbawienie, oddajcie mi dziecko, jakoście obiecali! Wypuściłem z jeństwa Bergowa i przyszedłem sam, boście obiecali, że za to oddacie mi dziecko, które się tu znajduje.

– Tedy córka będzie ci oddana! – odpowiedział Danveld. – Córkę ci pod strażą odeślem, ty zaś tu ostaniesz, póki straż nasza bezpiecznie nie wróci i póki okupu nie zapłacisz.

Jurand sam był nieco zdumiony, albowiem już był stracił nadzieję, by nawet dla Danusi ofiara jego mogła się na coś przydać, więc spojrział na Danvelda prawie z wdzięcznością i odpowiedział:

– Bóg ci zapłaci, komturze!

– Poznaj rycerzy Chrystusa – rzekł Danveld.

To rzekłszy kazał przybocznemu giermkowi sprowadzić Danusię.

Wtem jakiś głos krzyknął: „Wiodą dziewczkę!” – i naraz w całej sali uczyniło się milczenie. Wszystkie oczy skierowały się z ciekawością na drzwi, przez które miała się ukazać.

Tymczasem naprzód ukazał się giermek, za nim znana wszystkim służka zakonna, ta sama, która jeździła do leśnego dworca, za nią zaś weszła przybrana białą dziewczyna, z rozpuszczonymi włosami przewiązаныmi wstążką na czole.

I nagle w całej sali rozległ się na kształt grzmotu jeden ogromny wybuch śmiechu. Jurand, który w pierwszej chwili skoczył był ku córce, cofnął się nagle i stał bładny jak płótno, spoglądając ze zdumieniem na spiczastą głowę, na sine usta i na nieprzytomne oczy niedojdy, którą mu oddawano jako Danusię.

– To nie moja córka! – rzekł trwożnym głosem.

– Nie twoja córka? – zawołał Danveld. – To albośmy nie twoją z bójom odbili, albo ci ją jakiś czarownik zmienił, bo innej nie masz w Szczytnie.

Jurand począł wołać okropnym głosem:

– Jest! Jest w Szczytnie! Słyszałem, jako śpiewała, słyszałem głos mojego dziecka! Bóg patrzy na twoją zdradę! – wołał Jurand. – Na rany Zbawiciela! na godzinę śmierci twojej, oddaj mi dziecko!

I wstawszy z klęczek szedł zgięty we dwoje ku Danveldowi, jakby chciał mu objąć kolana, i oczy błyszczały mu prawie szaleństwem, a głos łamał mu się na przemian bólem, trwogą, rozpaczą i groźbą. Danveld zaś chcąc do reszty zdeptać nieszczęśnika posunął się również ku niemu i pochyliwszy się do jego ucha szepnął przez zaciśnięte zęby:

– Jeśli ją oddam – to z moim bękartem...

Lecz w tej samej chwili Jurand ryknął jak buhaj: obie jego dłonie chwyciły Danvelda i podniosły go w górę. W sali rozległ się przeraźliwy krzyk: „Oszczędź!” – po czym ciało komtura uderzyło z tak straszną siłą o kamienną podłogę, że mózg z roztrzaskanej czaszki obryzgał bliżej stojących Zygryda i Rotgiera. Jurand skoczył ku bocznej ścianie, przy której stały zbroje, i porwany wielki dwuręczny miecz runął jak burza na skamieniałych z przerażenia Niemców.

Byli to ludzie przywykli do bitew, rzezi i krwi, a jednak poczuli się cofać i pierzchać, jak stado owiec pierzcha przed wilkiem, który jednym uderzeniem kłów zabija. Sala zabrzmiała okrzykami przerażenia, tupotem nóg ludzkich, brzękiem przewracanych naczyń, wyciem pachotków, rykiem niedźwiedzia, który wyrwany się z rąk skomorocha począł wdrapywać się na wysokie okno – i rozpaczliwym wołaniem o zbroje, o tarcze, o miecze i kusze. Zabyła wreszcie broń i kilkadziesiąt ostrzy skierowało się ku Jurandowi, lecz on niebaczny na nic, na wół obłąkany, sam skoczył ku nim i rozpoczęła się walka dzika, niesłychana, podobniejsza do rzezi niż do orężnej rozprawy. Młody i zapalczy brat Gotfryd pierwszy zastąpił drogę Jurandowi, lecz ów odwalił mu błyskawicą miecza głowę wraz z ręką i łopatką; za czym padł z jego ręki kapitan łuczników i ekonom zamkowy von Bracht i Anglik Hugues. Inni widząc straszliwą siłę i rozpętanie męża zbili się w kupę, ale sposób ten gorszą jeszcze sprowadził klęskę, gdyż on z włosiem zjeżonym na głowie, z obłąkanymi oczyma, cały oblany krwią i krwią dyszący, rozhukany, zapamiętały, łamał, rozrywał i rozcinał strasznymi cięciami miecza tę zbitą ciżbę, waląc ludzi na podłogę spluskaną posoką, jak burza wali krze i drzewa. I przyszła znów chwila okropnej trwogi, w której zdawało się, że ten straszliwy Mazur sam jeden wytnie i wymorduje tych wszystkich ludzi.

Stary Zygryd, a z nim brat Rotgier wpadli na galerię, która biegła ponad wielkimi oknami sali, i poczuli nawoływać innych, aby chronili się za nimi. Wreszcie ostatni zatrzasnął drzwi prowadzące na chór i Jurand pozostał sam na dole. Z galerii ozwały się krzyki radości, tryumfu i wnet poczęły lecieć na rycerza dębowe ciężkie zydle, ławy i żelazne kuny od pochodni. Jeden z pocisków trafił go w czoło nad brwiami i zalał mu krwią twarz. Jednocześnie rozwarły się wielkie drzwi wchodowe i przywołani przez górne okna knechci wpadli hurmem do sali, zbrojni w dzidy, halabardy, topory, kusze, w ostrokoły, draży, powrozy i we wszelką broń, jaką każdy mógł napędce pochwycić.

A szalony Jurand obtarł lewą ręką krew z twarzy, aby nie ćmiła mu wzroku, zebrał się w sobie – i rzucił się na cały tłum. W sali rozległy się znów jęki, szczęk żelaza, zgrzyt zębów i przeraźliwe głosy mordowanych mężów.